

PRZEŁOM

DWUTYGODNIK POLITYCZNY

CENA 50 groszy

Kraków, koniec listopada 1944 r.

ROK I. Nr. 13

TOPIEL

Jesteśmy narodem rozbitków; zbiorowiskiem ludzi wyrzuconych z nurtu życia, oderwanych od swych siedzib i od swego środowiska; tłumem jednostek wzajemnie sobie obcych, o ile nie wrogich, czujących się w społeczeństwie co najwyżej w negacji, w buncie przeciwko rzeczywistości, w której wszelki udział pozytywny kogokolwiek z nas wywołuje u ogółu tylko potępienie.

Wielu zdaje sobie sprawę z tego rozpadu zbiorowości, lecz mówić o tym głośno — nie wolno. Przemilczanie złego stało się nakazem moralności narodowej, jej normą obowiązującą jest — optymizm. Optymizm na modłę — „rodziny Połanieckich“

Kult beztrojskiego optymizmu w dziwny sposób godzi się w naszym odczuwaniu zbiorowym z kultem ofiary. Zgodność ta dała się osiągnąć dlatego tak łatwo, że oba pojęcia rozumiemy opacznie. Gdy u innych na-

świata kojarzy się zwykle z ideą „radości życia“, dla nas pochodnym jest raczej tęsknoty za „życiem ułatwionym“. Tak samo jest z wiarą w moc ofiary. Pociąga nas nie istota sama ofiary, jej siła realna i twórcza — lecz wewnętrzne — poniekąd patologiczne — jej objawy.

Niezdolni jesteśmy do zrozumienia odwiecznego zjawiska upadków i odrodzeń, cudownej przemiany Marii Magdaleny. Świętość tej świętej wtędy się zaczęła, gdy przejrzała ona duchem — gdy zrozumiała cały bezmiar własnego zatracenia. My jednak nazywamy świadomością złego — niezdrówym pesymizmem. Wolimy przemilczać zło niż podjąć z nim walkę. Przekonani jesteśmy, że w ten sposób chronimy nasze „iły od zużycia“.

Nasz beztrojski optymizm nie pozwala nam spojrzeć po męsku prosto w twarz naszej niedoli, zwalnia nas od rachunku szans życiowych, od rzetelnego wysiłku, każe oczekiwać cudu.

W takiej atmosferze wyhodował się przed sześciu laty bakcyll „łatwej do wygrania wojny“ — bez samochodów, bez

czołgów bez samolotów. W takiej również atmosferze dojrzało powstanie warszawskie (też „łatwe do wygrania“). Żadna prowokacja obca; żaden rozkaz z Londynu, żaden oddech rozpaczki dowództwa na miejscu w kraju nie byłyby przeciwieństwem możliwości pchnąć Warszawę do skoku w przepaść, gdyby nie sprzyjała temu aura warszawska: beztrojska, niepczytalna wiara w „eksperyment“ ofiary.

Jesteśmy niewątpliwym narodem rozbitków, lecz nie chcemy się uznać za takich: zachowujemy się w naszej wygnańczej pielgrzymce jak na wilegiaturze.

Dziś jeszcze, kiedy dokoła nas czai się zagałda, trwamy uparcie w niefrasobliwości.

Każdy naród ma taki rząd, na jaki zasługuje: nasz rząd emigracyjny w Londynie jest wiernym odbiciem swego społeczeństwa w jego obecnym zblakaniu. Ten sam — tu

trojska w podejmowaniu najdonioślejszych postanowień: Czyż można się dziwić, że polityka rządu londyńskiego nie posiada linii?

Wczoraj mówiło się i robiło jedno, dziś wręcz coś przeciwnego. Jutro, być może, nastąpi zwrot ku wczorajszemu.

Nie trzeba zbyt wielkiej przenikliwości politycznej, żeby przyjąć do wniosku, że skoro nie wchodzi w rachubę — dla Polski — porozumienie z Niemcami to trzeba porozumieć się z Moskwą. Ale jeżeli z Moskwą porozumieć się nie można, to trzeba — politykę zmienić od a do z. Była chwila — wiosna tego roku — kiedy się zdawało, że w Londynie i w tajnej ekspozyturze krajowej rządu londyńskiego zdano sobie sprawę z powyższych współzależności. Niestety wrażenie to nie trwało długo: wiosenny kurs „antysowiecki, (a w każdym razie antykomunistyczny), zastąpił latem kurs prosowiecki. Hulaśliwie reklamowanym wyrazem tego stała się w końcu lipca podróż premiera Mikołajczyka do Moskwy. Podjęto tę podróż przy pośrednictwie rządu angielskiego — na zaproszenie rządu sowieckiego. Lecz „zapomniano“ upewnić się uprzednio czy zaproszenie równoznaczne jest w rozumieniu sowieckim z uznaniem rządu polskiego za prawowity. Okazało się dopiero w Moskwie, że „rząd“ londyński i „komitet“ lubelski traktowane są przez Stalina na równi jako dwie grupy Polaków, które winny się najprzód między sobą porozumieć, zanim porozumie się z nimi Rosją Sowiecką. W ten sposób spór o charakterze międzynarodowym miał się stać sporem wewnętrznym między Polakami, których arbitrem miał zostać Stalin. Czy, jadąc do Moskwy, pan Mikołajczyk nie mógł przewidzieć, jaką pułapkę szykuje dlań gracz sowiecki? Trzeźwość zawodzi zawsze, gdy ogarnia nas dufna pewność siebie.

Powstanie warszawskie, które wybuchło wśród tych powikłań, zrozumiałe zostało powszechnie jako fakt o nastawieniu antysowieckim. Stało by się nim niewątpliwie, gdyby wojska sowieckie przekroczyły Wisłę. Lecz gracz sowiecki tego „błędu“ nie zrobił. Było to z góry do przewidzenia.

Ostatnie oświadczenia i dekrety Generalnego Gubernatora, ministra Rzeszy, dra Franka oraz oświadczenia sekretarza stanu, dra Böhlera udawają, że wśród miarodajnych czynników niemieckich szerzy się przekonanie o konieczności zasadniczej zmiany stosunków polsko-niemieckich, że ponadto zapoczątkowane zostało czynne, ewolucyjne — w miarę narastających możliwości — zadośćuczynienie tej konieczności dziejowej.

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że w każdej sprawie, a w szczególności w poczynaniach politycznych, zmieniających z gruntu istniejący stan rzeczy, najtrudniejszy jest „pierwszy krok“. Wymaga on niezłomnej woli i głębokiego przekonania o słuszności podjętej akcji, a następnie przewyciężenia niesłychanych trudności realizacji. Stwierdzić należy, że Generalny Gubernator, dr. Frank pokonać musiał olbrzymie przeszkody, by na terenie naszym rozpocząć — mimo powstania warszawskiego i licznych przez wrogów Europy inspirowanych aktów sabotaży — nowy kurs polityczny. Konieczna jest odwaga i głęboka wiedza prawnicza, aby podjąć się wysiłku, który w samej rzeczy wykracza poza ramy Generalnego Gubernatorstwa i w dalszej konsekwencji pociągnąć musi za sobą następstwa o europejskim znaczeniu.

Witając z uznaniem rozpoczęty wysiłek naprawy stosunków polsko-niemieckich zdajemy sobie sprawę z tego, że zapowiedziane zmiany stanowić muszą początek dalszych, doniosłych reform, poprawiających byt materialny, kulturalny, a także państwowy wszystkich Polaków na całym terenie niemieckiego władania i wpływu.

Zachodzi absolutna konieczność ugruntowania i umocnienia podstaw wiary w lepsze jutro narodu polskiego, wiary w faktyczne istnienie rodziny europejskich narodów, połączonych ze sobą więzami wspólnego losu, koniecznością wspólnej walki o byt. W niebezpieczeństwie bowiem znajduje się byt wszystkich narodów europejskich, samoistność europejskich kultur! Ten, nieulegający żadnej wątpliwości, stan rzeczy wymaga natychmiastowej mobilizacji wszystkich bez wyjątku sił ludowych Europy i skoncentrowania ich we wspólnym, potężnym wysiłku. Mobilizacja zaś sił ludowych Europy jest możliwa wyłącznie w atmosferze pełnego wzajemnego szacunku i w atmosferze wolności, jaka panować powinna w karnej, zgodnej rodzinie. Dla stworzenia tej atmosfery konieczne są dalsze zasadnicze przeobrażenia polityczne, które muszą być plonem wspólnej pracy niemieckich i polskich przywódców narodu, ożywionych duchem najwyższej etyki socjalistycznej i narodowej.

Wrogowie Europy i narodu polskiego uczynią wszystko, aby rozpoczęty z mozołem trud znalezienia wspólnej platformy działania Niemców i Polaków unicestwić w zaraniu. Podstępne te usiłowania rozbić się muszą o skałę politycznego uświadomienia narodu polskiego, tyłekroć zdradzonego przez bolszewickich i anglosaskich spekulantów wolności.

Ze zgromadzenia światowej i przelanej krwi najlepszych synów dwóch sąsiadujących ze sobą narodów europejskich, ze zgłiszcz i ruin zniszczonych miast wyrosnąć musi wspólna walka o byt Niemców i Polaków, jako najpewniejsza gwarancja lepszego jutra.

Grupa Przełomu

Cóż wobec nieudania się imprezy powstającej robi rząd Mikołajczyka? — Coś wręcz niespodziewanego. Jedzie ponownie do Moskwy i ponownie z niej wraca z niczym. Po co to nowe upokorzenie? I po co równoczesne — na życzenie Sowieców, — odwołanie Sosnkowskiego ze stanowiska wodza naczelnego i nominacja na toż stanowisko **wbrew Sowiecom** — generała Bora-Komorowskiego, wodza powstania.

Te sprzeczne, jak gdyby odruchowe posunięcia trudne są do zrozumienia dla człowieka myślącego normalnymi kategoriami politycznymi. Jedno zdaje się je wyjaśniać: konieczność dostrajania w każdym wypadku polityki polskiej w Londynie do koniunkturalnych życzeń Anglii.

Tą drogą można uzyskać dla pp. Mikołajczyka, Romera i Grabskiego jakąś nową odznakę „za wierną służbę“, ale nic dla Polski.

Gdybyśmy mieli w Londynie rząd silny, rząd ludzi z charakterem, indywidualności nie obawiających się skutków osobistych, niezadowolona Wielka Brytania z ich polityki, to już dawno, nie dziś i nie jutro, gdy może już być za późno, byłibyśmy wezwani przez ów rząd ludzi mocnych, o jasnym poczuciu odpowiedzialności historycznej — do walki w obronie przed nadciągającą ostateczną katastrofą dziejową Narodu Polskiego, czym bez wszelkiej wątpliwości byłby zalew Polski i Europy przez bolszewizm.

Trzeba było rzucić narodowi takie wezwania ponad głowami Churchilla i Edena — niezależnie od wszystkiego, niezależnie od faktu okupacji niemieckiej w Polsce — już wtedy, gdy armaty sowieckie po raz pierwszy zagrzmiły nad Bugiem. Naród zdołałby wydobyc z siebie jeszcze potężny zapas sił. Nakazem najwyższym stało się to później, kiedy pół Polski po Wisłę wpadło w ręce sowieckie. Ostatni po temu czas będzie, gdy — co nie daj Boże — armia sowiecka stanie poprzez Węgry i Słowację na granicy karpackiej. — Jeżeli nawet wtedy — jeżeli rząd emigracyjny nie potrafi zapalić narodu do walki o zagrożony byt, ani sam naród nie zrozumie tej konieczności dziejowej — zginiemy. A z nami prawdopodobnie cała cywilizacja zachodnio-europejska.

Czy dlatego rząd emigracyjny „tolerowany“ jest przez Anglię, by sprowadzać na manowce i tak już zblakaną dostatecznie myśl polską? Poto istnieje ten rząd, by dać się wygrać Anglii w jej ciemnych machinacjach?

Z Anglią czy bez Anglii, z rządem emigracyjnym czy bez niego — naród polski, jeżeli chce żyć, musi choć w ostatniej chwili odzyskać poczucie rzeczywistości, wyrwać się mocnym rzutem w górę z topieli fikcji, ułudy i bez troski, w której tonie i kona powoli od lat pięciu czy sześciu. Jerzy de Nisau

SZLAKI POLSKIEJ NIEDOLI

Polska za czasów Jagiellonów, w okresie królewskiej polsko-litewskiej Rzeczypospolitej była potężnym mocarstwem dwóch mórz, łączącym w wspaniałym naturalnym systemie gospodarczym układy wodne Wisły, Dniepru i Niemna. Polska okresu 1918 do 1939 roku mocarstwem nie była. Nie była nim dlatego, ponieważ nie rozporządzała tymi danymi gospodarczymi i strategicznymi, które by umożliwiły jej prowadzenie polityki prawdziwie niezależnej, t. zn. polityki wyrugowania obcych wpływów z życia wewnętrznego Odrodzonej Polski.

A jednak położenie geograficzne Polski, sąsiedztwo dwóch wielkich państw skonsolidowanych, rozporządzających ogromnymi zasobami gospodarczymi i militarnymi narzuciło młodej, wyniesionej co dopiero z chaosu i zniszczeń Wielkiej Wojny Polsce zadania, które wielokrotnie przewyższały zadania Polski Jagiellonów. Ze straszliwej problematyki Polski Odrodzonej zdawał sobie dokładnie sprawę Józef Piłsudski, gdy stwierdził, że Polska musi być potężna, albo jej wogóle nie będzie. Ta myśl była ojcem koncepcji federacyjnej Piłsudskiego, koncepcji powrotu do tradycji jagiellońskiej na zasadzie ideologii kościuszkowskiej, na zasadzie hasła Unii Lubelskiej: „wolni z wolnymi, równi z równymi“. Niestety zrealizowanie tej koncepcji nie było możliwe. Po pierwsze ponieważ naród polski był w r. 1920 zupełnie wycieńczony walką z nawałą bolszewicka, walką, w której aliancy sojusznicy pozostawili Polskę bez pomocy i poparcia. Po drugie ponieważ u reszty narodów sarmackich brak było poczucia solidarności, wspólnoty życiowej, konieczności zespolenia swych losów w wspólnym związku federacyjnym.

Przez dwadzieścia lat naród polski uciążliwą, ponad siły, ciężką pracą, stawiał się na zgłiszczach budować fundamenty siły swej odrodzonej państwowości. Jakże byliśmy biedni! Jedyny nasz skarb mieścił się w sercach polskich, w sercach wszystkich rodaków, którzy podzieleni w partyjnych swarach i kłótniach, w jednym jednoczyli się celu: zachowania i utrwalenia tej niepoległości, za którą walczyli, nie ludzkie cierpieli katusze, żyli i umierali nasi przodkowie. Żadnej nam z zewnątrz nie udzielono pomocy! Kierownicy państw zwycięskich nie interesowali się narodem, który w niesłychanie niekorzystnej sytuacji, politycznej i gospodarczej rozpaczliwie walczył o swój byt i w ogniu tej walki nie mógł myśleć o radykalnej naprawie stosunków społecznych, od dawien dawna domagających się refor-

my. Nasz chłop, nasz robotnik, nawet nasz pracujący inteligent żyli w niegodnych warunkach cywilizowanego świata, ponieważ rynki świata zamknięte były dla wyrobów pilności polskiego ludu.

Świat podzielony był między bogaczy! A ci bogacze dolarowi, czy szterlingowi pilnie dbali o to tylko, aby ich awangarda w Polsce w spokoju pasyżytowała mogła na nędzy polskiego ludu. Wystarczyło przejść się po miastach, miasteczkach lub wioskach byłych Kongresówki i Małopolski w jakikolwiek dzień tygodnia, w szabas lub w nieszabas, aby podziwiać tysiące pejsatych mieszkańców w długich kaftanach i jarmulkach, włączających się od rana do wieczora po ulicach i nie nie robiących lub raczej kradnących Panu Bogu dzień, a grosz polskiemu narodowi. Biała jednak polskiemu rządowi, który by ośmielił się spróbować naruszyć przywilej nieróbstwa wybranego narodu. Z Londynu, Nowego Jorku, Wąszyngtonu, ze wszystkich krańców anglosaskiego świata odezwały się głosy protestu i oburzenia na reakcyjność, na imperializm polskiego rządu i narodu! Tak — imperializm narodu biedaków, wierzących naiwnie w oszukańczą paplaninę żydowskich i anglosaskich spekulantów giełdy i wolności.

Tak było aż do roku 1939! Wtedy się nagle wszystko zmieniło. My, Polacy, staliśmy się pupilami potentatów nowojorskiej i londyńskiej giełdy. Już od szeregu lat strumień złota spływał do kieszeni kapitalistycznych krezusów ze złotodajnych źródeł przemysłu zbrojeniowego. Inkasowano 20, 30, 50 i więcej procent dywidendy rocznej! Aby ten błogosławiony deszcz złota padał, trzeba było znaleźć naród idealistów i bohaterów, gotowych bronić cudze interesy. Bronią można handlować, można ją produkować i sprzedawać, trudno jednak wymagać, aby nią władali ci z rodu Morgenthauów, Baruchów, Hore Belisha i Rotschildów!

I odkryto znów naród polski! Czyż można było znaleźć lepszego partnera do tego rodzaju interesów?! Nieskazitelny, czysty, ufny, wytrzymały, bohaterski i wierny lud polski! Nawet nie domagał się żadnego szczególnego wynagrodzenia za swój trud, za swój krwawy wysiłek! Nie domagał się udziału w bogactwach świata, nie domagał się nowego, lepszego ukształtowania ustroju politycznego i gospodarczego Europy, takiego ukształtowania, który by zapewnił polskiemu człowiekowi pracy jaką taką podstawę bytu. Bo Polacy — to nie kramarze, nie spekulanci! Tacy właśnie byli potrzebni angiel-

BIMBER w ciemnościach

Jest coś przykrego w tym ustawicznym ruchu wahadłowym p. Mikołajczyka między Londynem a Moskwą. Z nieopartą siłą narzuca się obraz lalki zawieszanej na sznurku i przerucanej z rąk do rąk — dla zabawy. Te ustawiczne wojaże nieszczęsnego premiera budzą żal, gorzyc w każdym Polaku, choćby stał jak najdalej od kół i nastrojów londyńskich.

Moskwa z Londynem urządziły sobie istną zabawę z Mikołajczyka, której reguła zaczyna się coraz wyraźniej odświeżać. Za każdym wyrzutem z Londynu do Moskwy Mikołajczyk mięknie, staje się mniejszy, traci na wadze. Cała gra najwidoczniej na tym polega, aby w końcu go unicestwić. Obaj partnerzy na to pracują, a wygra ten, kto osiągnie przed tym punktem zmiękczenia, kiedy już Mikołajczyk stanie się bierną masą, żywą wagą. Nie znaczący to, by go zaraz miał spotkać los gen. Sikorskiego. „Formalnie“ może sobie istnieć dalej. Chodzi o to, aby go obrócić w stan zupełnego bezwładu, zechnąć na poziom fizycznego tylko istnienia.

Premier Mikołajczyk przepelniony wstrętem do Sowieców (jak każdy Polak) musi

co jakiś czas jeździć do Moskwy z hołdowniczą wizytą. Stalin niezachwiany w swym okrutnym lekceważeniu osoby Mikołajczyka, bądź co bądź reprezentującego interesy polskie, nie musi go przyjmować. Czyni to jak z laski, z bezceremonialną ironią człowieka, który się bawi. Arbitralne przerwanie gry odsłoniłoby zbyt jaskrawo despotyzm Moskwy. Propagandowo biorąc, lepiej się jeszcze pobawić z Londynem w Mikołajczyka. Zabawa jest przecież zupełnie nieszkodliwa i — dla Moskwy — nie ryzykowna.

Może nawet przynieść wyraźny zysk. Nacisk obu „przyjaciół“ (Churchilla i Stalina) na emigracyjnego premiera doprowadził już niemal do pojednania pomiędzy londyńczykami a Sowieckim Polskim pod komendą osóbką. Pojednanie to nosi cechy skroś demokratycznej sprawiedliwości: mandaty po połowie. Coś w rodzaju „rządu jedności narodowej“. Okazuje się jednak, że londyńska „połowa“ nie jest wcale połową, ale raczej liczbą urojoną. Towarzysz Stalin bowiem zastrzegł sobie wgląd w skład połowy londyńskiej i wyraził życzenie, by zawierała ona tylko ludzi miłych jego czerwonemu pod-

niebieniu. Wiadomo zaś, że życzenia towarzysza Stalina nie są głosem wołającego na puszczy. Zsumowanie więc „wybranych“ londyńczyków i sowieckich z Lublina da rząd bardzo tylko lekko „mieszany“. W istocie rząd jawnych zdecydowanych komunistów i komunizujących lewicowców. Nie trzeba być jasnowidzem, by dokładnie już dziś przewidzieć dalsze losy tego rządu, które mogą być tylko walnym zwycięstwem czerwonaków stu procentowych. Pozostali towarzysze albo pocerwienięją i staną karnie w szeregach komuny, albo... dokooptuje się nowych i pewnych.

Tak wygląda sprawa od strony rzeczywistości „rzeczywistej“. Decorum jednak jest wzruszająco piękne. Churchill, znany przyjaciel Polski i Polaków, pracował w pocie czoła nad tym, by jakoś przecie ucziwie i ku zadowoleniu obu stron (polskiej i sowieckiej) gorszącą waśń „bratnich narodów“ zażegnać. No i zażegnał. Dokładnie, sprawiedliwie. Chcecie mieć w rządzie londyńczyków? — Więc macie ich całe 50 proc. Stalina jednak też nie można irytować (stary ma bądź co bądź „sługi“, niech sobie ma 50 proc. tych swoich (polskich) zresztą) sowieckich. No przyznacie chyba, że trudno posunąć się dalej i w dobrej woli, i w przyjaźni i w sprawiedliwości. Nareszcie macie panowie Polacy

skim i amerykańskim szachrajom, wyżyskiewiczom własnego narodu, z łaski bogą Mammony wszechwładnym panom kolonialnych ludów.

I poszedł polski Bartek i Wojtek, Antek i Józef na wojaczkę. W sercach ich palił się święty ogień miłości Ojczyzny. Poszli walczyć o niepodległość Polski z tym głębokim przekonaniem, że nie mogą oddać wrót morskich, które tak bardzo ich biednej Ojczyźnie są potrzebne, a jeszcze bardziej potrzebne będą, gdy jeno taki ład i dostatek zapanuje pod polską strzechą. Poszedł na wojaczkę polski Bartek i krwią swą zbroczył ziemię polskie i — niepolskie! Paliła się Warszawa, bronił się Hel, walczyła do ostatka Westerplatte, a potem rozpoczął się żalosny los bezdomnych tułaczy, błędnych rycerzy. Pod słońcem Afryki, na szanach Tobruku, pod Monte Cassino i Arnheim gnany tęsknotą za Ojczyzną żołnierz polski cudów dokonywał męstwa i waleczności. Płacono mu złotą monetą pochwał i srebrnikami fałszywymi nadziei. A równocześnie przygotowywano zdradę, zdradę tak potworną, jakiej jeszcze nie zapisano w księgach dziejów ludzkości.

Sprzedano Polskę!

Nie ma tu żadnej dyskusji, nie może być wogóle zagadnienia wschodnich granic Rzeczypospolitej lub jakiegokolwiek mieszania się w wewnętrzne sprawy polskie ze strony bolszewii. Sprzymierzeńcy angielski i amerykański wogóle do postawienia tego rodzaju kwestii nie mogli dopuścić. Samo rozpoczęcie pertraktacji było i jest zdradą! Polska nie zaatakowała Unii Sowieckiej, Polska nigdy nie wtrącała się w wewnętrzne sprawy tego państwa bojaźni Stalina i bolszewickich katów! Unia Sowiecka nie może żądać od polskiego sąsiada gwarancji bezpieczeństwa. Unia Sowiecka w r. 1939 nie pospieszyła Polsce z pomocą i sama ponosić musi wszelkie wynikające z tego faktu następstwa. Co więcej Unia Sowiecka we wrześniu 1939 r. bez wypowiedzenia wojny przetrzymała w Warszawie i w Warszawie wzięła czynny udział w operacjach militarnych przeciwko Polsce. Bez najmniejszego powodu złamała Pakt Nieagresji i podeptała postanowienia Traktatu Ryskiego. Polska na podstawie tego stanu rzeczy ma pełne prawo ze swej strony domagać się rewizji wschodnich granic i wytyczenia granic takich, jakie odpowiadać będą wymogom bezpieczeństwa strategicznego oraz wymogom gospodarczej niezawisłości państwowej. Takie powinno być stanowisko jednoznaczne i bezapelacyjne sprzymierzeńców alianckich. Na takie stanowisko rządów Stanów Zjednoczonych Am. Półn. i Wielkiej Brytanii zasłużył sobie żołnierz polski krwią przelaną na tysiącnych pobojowiskach tej

straszliwej wojny, na takie stanowisko sprzymierzeńców zasłużył sobie naród polski godząc się na lata ciężkiej okupacji, na długotrwałe utrzymywanie stanu wojennego między Niemcami i Polakami.

Churchill i Roosevelt wybrali inne stanowisko, z krwi i wysiłku narodu polskiego zrobili sobie przedmiot przetargów. Wiemy za co Polska ma płacić! Nafta Iranu, bogactwa Pacyfiku, skarby Indii więcej znaczą dla magnatów z londyńskiej City i nowojorskiego Wallstreet niż krew Polaków i potrzeby narodu, marzącego nad brzegami Wisły o dobrych i wiernych anglosaskich sprzymierzeńcach. Żołnierz sowiecki u boku japońskiego zdobywcy znaczący ostateczny koniec imperialistycznej ekspansji Anglosasów na obszarach Dalekiego Wschodu. Trzeba więc przekupić bolszewickiego niedźwiedzia słodkimi plastrami polskiego i bałkańskiego miodu.

Były kiedyś czasy, gdy prezydenci Stanów Zjednoczonych Am. Półn. ściśle przestrzegali zasadę „Ameryka dla Amerykanów” i na żadne imperialistyczne awantury się nie godzili. To było wtedy, gdy żywą była tradycja Kościuszki i Waszyngtona. Ale to się dawno zmieniło. Dziś generalowie amerykańscy przyjmują order Suworowa, a w Białym Domu panoszą się wpływy potentatów dolara, królów kauczuku, nafty i samolotów...

Niedawno na zgłiszczach Warszawy dokonał się nowy akt wielkiej tragedii narodu polskiego. Jeszcze zwłoki poległych i zasypanych czekają na pogrzebanie, jeszcze dymią zgłiszcza, jeszcze unosi się gęsty obłok ceglanych kurzu nad ruinami nieszczonego, zdradzonego przez świat miasta, a oto Brytyjczycy każą sobie oficjalnie zaświadczyć, że Polacy w r. 1939 i bez angielskich gwarancji wyruszyli w bój! Zdziwiająca jest chytryść i zapobiegliwość anglosaskich dyplomatów. Ależ owszem, nie tylko rząd polski w Londynie, wystawić może takie zaświadczenie, zapatrzone we wszystkie potrzebne podpisy i pieczęcie. Podpisze się pod nim każdy Polak, cały naród polski, który dawno przekonał się o wartości angielskich gwarancji. Możemy nawet sami angielski weksel gwarancyjny scedować na rzecz Stalina, który podobno ma być obdarowany angielską gwarancją zachodnich curzonowskich granic bolszewii. Wyobrażamy sobie, jaką wesołość wywołują u władców Kremia te nowe gwarancyjne podrygi angielskiego, jakże usłużnego sojusznika, dawno zaszachowanego przez bolszewików na wszystkich terenach europejskich a nawet afrykańskich.

Doprawdy, aż przykro patrzeć na bezwład myśli politycznej u narodu, ongiś dumnie przodującego światu! Pożar straszliwych roz-

miarów niszczy ogromne połacie ziemi, świat kąpie się w morzu krwi i nędzy, rujnuje się bezcenne wartości kultury i tradycji, w proch i pył rozpadają się dawne kanony politycznego działania, mitem staje się dawne pojmowanie suwerenności, z chaosu zapadających się bytów wyłaniają się już kształty nowego jutra Europy i świata, wszelako ministrowie angielskiej Królewskiej Mości pragną wzmóc sojuszniczym narodom a nawet własnemu narodowi, że nic się nie zmieniło i że dalej tańczyć należy przy akompaniamencie liberalno-demokratycznego jazzu.

Przykro nam bardzo, że w najbardziej decydującej chwili my, Polacy, musimy zrobić zawód anglosaskiemu kuglarzowi. Zbyt dużo wycierpieliśmy, a cierpienia jednak uczył. Dziś wiemy, że suwerenność państwowa pojęta według wzorów z przed 1939 r. nie zabezpiecza życia poszczególnym narodom europejskim, że co więcej prowadzi nieuchronnie do chaosu i katastrofy całej zachodnio-europejskiej kultury. Wiemy, że najważniejszą jest właśnie sprawa wschodnich granic Polski, bo to już nie tylko sprawa Polski, lecz sprawa całej Europy, sprawa wschodnich rubieży Wspólnoty Europejskich Narodów. Co się zaś tyczy zachodnich granic polskiego obszaru życiowego, niech się Anglicy przestaną o to troszczyć, tę sprawę uczciwie i po męsku załatwimy sami z naszym europejskim sąsiadem. Dziś wiemy, że w Erze Dostatku Energetycznego, w epoce mobilizowania olbrzymich sił przyrody powstać muszą wielkie organizmy państwowe, jako ośrodki siły zjednoczonych narodów. Nie trzeba nas bynajmniej straszyć, że to „niemiecka propaganda”. O tym, dwieście lat temu pisał już nasz król Stanisław Leszczyński, potem wieszcz Adam Mickiewicz był w „Trybunie Ludów” pionierem narodowego a równocześnie europejskiego socjalizmu. Zaś August Cieszkowski w „Ojcie Nasz” zapowiada nadejście „Spełni Ludów”, utworzenie Wszechojczyny „bez najmniejszego uszczerbku ani ubliżenia pojedynczym Ojczyznom”.

Oto jądro polskiego problemu. Gdyby nam w r. 1939 powiedziano: — Polacy, musicie się zdecydować! Tworzą się wielkie nowe całości państwowe. Musicie wybrać: czy chcecie należeć do europejskiej całości, do całości kultury zachodnio-europejskiej, czy też do całości wschodnio-europejsko-syberyjskiej? Bez najmniejszego wahania naród polski wypowiedziałby się za Europą, tak jak za Europą wypowiadali się zawsze nasi przodkowie przez cały ciąg naszych dziejów. Co więcej, my, Polacy, możemy wam, Anglikom, powiedzieć, że w r. 1939 decydując się na sojusz z wami daliśmy właśnie wyraz naszej łączności z Zachodem. Tak jest! Wtedy właśnie już głosowaliśmy! Myliliśmy się wówczas tylko w wodzach. Bośmy was, Anglików, uznawali za wodzów Europy. Wy zaś przez cały przeciąg wojny udawadniałście i w dalszym ciągu dzień po dniu udawadniać, że do tej wodzowskiej roli nie dorosłście, co więcej, że w głębi duszy jej wcale nie pragniecie. Bo wam więcej zależy na Indiach, Australii i Singapore niż na Europie. Bo Indie i Singapore to, według waszych najgłębszych przekonań, gwarancje waszego zbytku i wytwornego nieróbstwa, a Europa obarczałaby was tylko kłopotami i być może obowiązkiem pewnych niewielkich zresztą ofiar. Dlatego woleliście, dlatego wolicie przehandlować Polskę i Europę!

Tak jest! Wyście sami odeszli. Namawiając nas do poddania się pod dyktando Moskwy, zdezwierowialiście, opuściliście posterunek wodzowski, na którym postawiło nas nasze zaufanie i zaufanie tych wszystkich ludów, co uwierzyli waszym gwaransom.

Zdradziliście!

Ale naród polski nie ma zamiaru zdradzić siebie samego, nie zdradzi tradycji ojców-powstańców, tradycji bohaterów-przodków, od stuleci walczących w obronie Europy, w obronie kultury zachodniej. Sztandar porzucony przez was, Anglosasów, nadal powiewa nad nami. Zmienił się tylko chorąży!

Nasze miejsce jest przy tym sztandarze!
dr Feliks Burdecki

ten swój rząd, za którym byliście tak stęsknieni; to bardzo, bardzo dobrze. Teraz pozostaje już tylko drobna formalność: podpiszcie nam tu kwitek, że myśmy wszystko zrobili, co było w naszej mocy, co wynikało z naszych obowiązków sojusznicznych. O tak, doskonale.

Ciarki muszą przechodzić po kościach biednych naszych londyńczyków na widok tych darów. Jeśli który z nich zapytuje sam siebie bladym szeptem: co dalej? — O ile jeszcze ma rozum w porządku — jedną może dać sobie odpowiedź: jesteśmy w łapach Stalina i nikt już nas z nich nie wydrze.

Niech by kto śmiał teraz protestować z powodu tego lub innego posunięcia nowego „polskiego rządu”! Z jakimż dostojenstwem zreprimendowały go Churchill: trudno; panowie, radźcie sobie sami — macie przecież własny rząd! Ostatecznie gdyby stało się niebezpieczeństwo, mówka pogrzebowa z łezką i wianuszek też — to maksimum usępsstwa.

Tak wygląda w zarysie komedia mieszańców rządu londyńsko-lubelskiego. Jedno ogniwo z wielkiego łańcucha upokorzeń polskich biegnącego wzdłuż kabla Moskwa-Londyn. Jutro przyniesie może nową komedię, równie bezcelną i równie okrutną.

Straszne. Ale są rzeczy straszniejsze. Straszniejsze jest przede wszystkim to, że nawet

teraz, nawet dziś ludzie wciąż jeszcze nie widzą prawdy. Propaganda angielska i sowiecka roztoczyła w Polsce nieprzejrzaną ciemność. Człowiek człowieka nie widzi. Rozpoznaje go czasem w świetle wystrzału rewolwerowego. Cóż znaczą argumenty, zebrane dowody, cierpliwe i sumienne przekonywanie — wobec oporu człowieka, który nie chce otworzyć oczu? Wśród mroków, którymi zasnuło nasz kraj, znaczenie ma tylko na odczepne rzucony frazes angielski, głupi komplement, fałszywy uśmiech zza kanału. Anglik założył u nas przenośny szyncelek z bimbrem. Rozlewa mętny napój w ciemności, częstuje każdego przechodnia. Tłumy gromadzą się koło jego kramiku. Tylko szklanki w ciemnicy brzękają i błyskają długie zęby automatycznie uśmiechającej się twarzy.

Bimber przyrządza się na denaturacie, a denaturat oślepia. W ciemnicy ślepotą może ująć niepostrzeżenie. Może się nawet stać przyjemnością. Szynekarz angielski od czasu do czasu trąca się pustą szklanką z pijanym, rozanielonym klientem. Skapy nie jest, truciną rozlewa szeroką ręką. Po nalaną szklankę wyciąga się zziębłe, drżące ręce ludzi spragnionych zapomnienia, ludzi, którzy nie chcą być trzeźwi. I tylko słychać w ciemności: if you please... j. e. s.

ELEMENTY nowego USTROJU

Fragment z książki „O polityce”

Czasy, które przyjdą po zakończeniu obecnej wojny, nie wyrzekną się niewątpliwie wszelkiej „demokracji” (rozumianej jako udział wszystkich obywateli w rządach, bezpośrednio lub przez przedstawicielstwo), pomimo oczywistego bankructwa rządów demokratycznych, odziedziczonych przez wiek XX po wieku XIX, „wieku demokracji”. I tą resztką rządów demokratycznych, która ocalała, resztką najbardziej wartościową z ich całokształtu, będzie demokracja bezpośrednia, tj. **pełny samorząd — na najniższych szczeblach organizacji społecznej** — w poziomie (gromada) i w pionie (związek wytwórców, syndykat zawodowy).

Inną zasadą czasów nadchodzących będzie już dziś mająca dość szerokie zastosowanie **zasada doboru**. Zasada ta ma się tak do szacunkowej już obecnie zasady wyboru przez głosowanie, jak właściwa jej celowość (przydatność ze względu na cel) ma się do przypadkowości, rządzącej wszelkimi rozstrzygnięciami przez głosowanie.

Po linii doboru, w znaczeniu zarówno selekcji materiału ludzkiego jak i kooptacji dookoła pewnego trzonu organizacyjnego jednostek najbardziej odpowiednich do wykonania danej pracy lub danego przedsięwzięcia, poszły wszystkie wielkie ruchy społeczne współczesności: faszizm, narodowy socjalizm.

W bieżącym okresie przejściowym od demokracji równościowej, niwelacyjnej do „demokracji zorganizowanej”, od anarchii partyjnej do synarchii korporacyjnej, w okresie zatem zaniku pewnych form organizacji politycznej i narastania form nowych, zjawia się jako forma organizacyjna przechodnia monokracja, strona „jedynego” — i to także przez państwo i zbudowane na podstawie doboru i wyłączenia.

Ustroje monopartyjne są typowe dla naszych czasów przy różnych ideologiach: monopartyjnym jest ustroj sowiecki w Z. S. R. R., jak był nim faszystowski w Włoszech przed przełomem 25 lipca 1943 r., jak nim jest ustroj narodowo-socjalistyczny w Niemczech, narodowo-korporacyjny w Hiszpanii.

System monopartyjny we Włoszech okazał się dalekim od doskonałości. Nie obala to jednak zasady doboru która znalazła w nim swój wyraz skrajny.

Obok zasady samorządu u podstaw piramidy społecznej i zasady doboru na szczeblach organizacyjnych wyższych i najwyższych, coraz szersze ma zastosowanie w naszych czasach trzecia zasada organizacyjna, którą by można nazwać **zasadą kierownictwa naukowego**.

Pewne rozwiązania narzucają się mianowicie samo przez się, mocą konieczności obiektywnej, niezależnie od takich czy innych zapatrywań, od takich czy innych dążeń i upodobań, będąc po prostu wnioskiem z przesłanek, danych w samym zagadnieniu.

W takich wypadkach chodzi tylko o to, by ustalić w sposób możliwie ścisły owe przesłanki i wyciągnąć z nich prawidłowe wnioski. Jest to praca „naukowo-laboratoryjna” raczej niż polityczna. Wymaga gruntownej znajomości rzeczy w tej dziedzinie. Powierzona być musi znawcom, specjalistom. Już w ustroju demokratyczno-parlamentarnym powołane bywały komisje ekspertów o głosie doradczym, lecz głos rozstrzygający miała zawsze odnośna komisja parlamentarna, a w ostatecznej instancji — przygodna większość na plenum Izb Ustawodawczych.

Obecnie coraz szerszy zakres spraw oddany zostaje przez władzę polityczną do zbadania i rozstrzygnięcia ciałom pomocniczym,

złożonym ze znawców, stanowiącym i rozstrzygającym na podstawie kryteriów naukowych.

Jest to wyrazem **postępującej racjonalizacji procesu dziejowego**.

Dopóki procesy życiowe nie przestają być samorzutnymi i żywiołowymi, dopóty kształtują się one niejako mechanicznie według zasady najmniejszego oporu. Daje to w wyniku linię rozwoju łamaną, zygawkową, biegnącą od skrajności do skrajności, od przesady w jednym kierunku do przesady w kierunku odwrotnym. Jest to linia „rozwoju przez przeciwieństwa”, wiodąca przez „tezę” do „antytezy” i do „syntezy”. Zamiast syntetycznej linii prostej AB, oznaczającej przejście z sytuacji A do sytuacji B w sposób najbardziej „adekwatny” i „logiczny”, otrzymujemy tu linię łamaną, rozczłonkowaną „analitycznie”, odchylającą się to ku prawej, to ku lewej stronie. W tym stanie rzeczy ostateczny wynik danego procesu dziejowego, zestawiony z pierwotnym tegoż procesu punktem wyjścia, daje się ująć ex post w formie myśli logicznej.

W miarę jednak przenikania pierwiastków racjonalnych do nurtu żywiołowego, w miarę zatem racjonalizacji procesów dotychczas żywiołowych należy przypuszczać, że ich rytm „dialektyczny” — przez tezę i antytezę do syntezy — będzie stawał się coraz bardziej zjawiskiem zanikowym. Wtedy przejście z A do B odbywać się będzie wprost, bezpośrednio, „syntetycznie” wzdłuż linii prostej AB.

Polityka właśnie, jako wyraz dążeń człowieka do opanowania żywiołowości dziejowej stwarza system rozwiązań racjonalnych, syntetycznych prostoliniowych.

ZAPOWIEŚĆ ZMIAN

Niedawne oświadczenia odpowiedzialnych kierowniczych czynników niemieckich w Generalnym Gubernatorstwie o powołaniu Polaków do współudziału w rządach tym krajem przyjęte być winny przez społeczeństwo polskie z uznaniem i zrozumieniem, jako ważny krok naprzód w kierunku uzdrowienia panujących tu stosunków.

Mówimy wyraźnie: **uzdrowienia**, gdyż nikt nie będzie twierdził, że dotychczasowe stosunki w Generalnym Gubernatorstwie rozwijały się pomyślnie. Wręcz odwrotnie, niemożliwość ich w wielu dziedzinach stwierdzają zgodni, z różnych wychodząc założeń, zarówno Polacy jak Niemcy. Rozwodzenie się na ten temat byłoby wyważaniem drzwi otwartych.

Nie o to chodzi. Rzeczą jedynie ważną w tej chwili jest przejście od stwierdzeń tych lub innych wad, zaniedbań, wykroczeń i błędów, do uniemożliwienia podobnych zjawisk na przyszłość i do ustalenia zasad dalszej twórczej pracy; przejście więc od **negacji** do wskazań **pozytywnych**.

Właściwie biorąc jest to również bezsporne: poczucie konieczności wyjścia z impasu dążeń negatywnych coraz mocniejsze, zyskuje podstawy po obu stronach. Sporną jedynie może być — i to już niezależnie od tego czy chodzi o Polaków czy o Niemców — sprawa **metody**.

Jak osiągnąć zgodność zapatrywań i w tym zakresie? — Sądźmy, że jedynym drogowskazem w danym wypadku może być tylko cel ostateczny, jaki dla dobra wspólnej sprawy ma być osiągnięty.

Celem tym jest i może być jedynie takie postawienie sprawy polskiej, ażeby osiągnię-

Zrozumienie tych spraw przyniosą dopiero ostatnie czasy. Stąd zaznaczone już wyżej wzrastające zastosowanie metod ekspertyzy naukowej do zagadnień życia zbiorowego.

Najgroźniejszy objaw owych dążeń do „naukowego” kierownictwa sprawami zbiorowości przedstawia sobą Rooseveltowski „trust mózgów”.

Zasada „trustu mózgów” wydaje się być słuszną i nie ona wywołała nieprzychylnie uwagi w prasie światowej; wywołał je zbyt jednostronny skład Rooseveltowskiego „trustu”, oznaczający w praktyce ustanowienie „nadrządu” finansjery, przeważnie dodający żydowskiej, nad życiem gospodarczym — i w ostatecznym wyniku także politycznym Ameryki Północnej.

Tkwi w tym, jak zawsze w podobnych sytuacjach, wielkie niebezpieczeństwo polityczne, to mianowicie, że nowe formy organizacyjne zbiorowości, wypełnione być mogą obcą ich naturze, starą treścią społeczną.

*

Trzy zasady: **samorządu, doboru, naukowego kierownictwa** nie spełniłyby tego zadania, jakie każdej z nich przypada w dziele organizacji życia zbiorowego społeczeństw, gdyby nie były poddane oddziaływaniu nadrzędnej **zasady odpowiedzialności jednostkowej** za bieg spraw ogólnych, ale i **jednostkowego kierownictwa** tymi sprawami, **przywództwa, przodownictwa**.

W postaci bardziej jawnej lub bardziej ukrytej zasada ta występuje w ustrojach wszystkich typów, wszystkich czasów. Wielki obecny przyniósł głębsze zrozumienie roli jednostki w życiu zbiorowości i obarczył ją rozlicznymi obowiązkami wobec całości społecznej, państwowej, narodowej. Powierzył jednostkom losy zbiorowości, a powierzając im je, nadał im różne stopnie znaczenia w całości zbiorowej. Otwarciem stanął na stanowisku **hierarchii i przywództwa**.

Yanow do Niz...

ty został najwyższy stopień **samorzutnego udziału** narodu polskiego w życiu, zadaniach i troskach przyszłej **wspólnoty narodów europejskich**. Polska, o ile ma być naprawdę wartościowym składnikiem tej wspólnoty traktowana być musi przez innych tej wspólnoty członków jako jeden z jej **elementów istotnych i pełnoprawnych**.

Kto z tego stanowiska spojrzy na sprawę polską ten — można być tego pewnym z góry — znajdzie zawsze właściwą metodę jej rozwiązania.

Chwila obecna, być może nie jest jeszcze odpowiednia do ustalenia miejsca i roli Polski w przyszłej, zjednoczonej Europie — i, co za tym idzie, do ostatecznego określenia zasad przyszłej organizacji narodu polskiego. Każdy jednak, nawet cząstkowy etap zbliżający nas ku rozwiązaniu ostatecznym winien być uznany jako korzystny i celowy.

Naród nasz ma skłonność do **maksymalizmu** w ocenach rzeczywistości i w sądach politycznych. Nie jest to cechą, godną pielęgnowania. W życiu bowiem spotykamy się bardzo rzadko z dokonaniem wszechogarniającymi i totalnymi. Dlatego należało by zrewidować nasz zbyt prostoliniowy maksymalizm i powiedzieć sobie, że nie powinno się gardzić chatą drewnianą dlatego tylko, że w Finlandii budują domy z granitu, a w Nowym Jorku — drapacze chmur z żelazobetonu.

Jesteśmy pewni, że przy dobrej woli i z realistycznego patrząc na sprawy stanowiska, wszyscy Polacy w kraju i na szerokim świecie, o ile nie zatracili poczucia odpowiedzialności historycznej, uznają **zapowiedź zmian** w stosunkach panujących w Generalnym Gubernatorstwie za objaw pocieszający i w danym momencie **dziejowym** stwarzający podstawy dla dalszych osiągnięć.

Stały czytelnik Przelomu

BUŁ



20000001447221

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
W ŁODZI

P 5098 / 1

„Nie wypotycać”
1944